



FOTOFESTIWAL 9<sup>th</sup> International Festival of Photography in Lodz, Poland,  
www.fotofestival.com, 6<sup>th</sup>-30<sup>th</sup> of May 2010

## Miłość niejedno ma imię

tekst: Marta Eloy Cichocka

„Close your eyes and I'll kiss you, tomorrow I'll miss you...” – tak zaczyna się jedna z najstojniejszych na świecie piosenek o miłości. Należy do wczesnego repertuaru Beatlesów, trwa niewiele ponad dwie minuty, a legenda głosi, że Paul McCartney wymyślił jej słowa w czasie golenia. Tekst ma formę pożegnalnej wiadomości dla ukochanej osoby, a refren brzmi jak magiczne zaklęcie na czas rozłąki i tęsknoty:

„All my loving I will send to you;  
All my loving, darling I'll be true...”

Po niemal półwieczu dziarskie wykonanie czwórki przystojniaków z niegrzecznymi grzywkami doczekało się konkurencyjnego damskiego nagrania: w zmysłowej, refleksyjnej wersji Amy Winehouse „All my loving” trwa o całą minutę dłużej – i pozwala uświadomić sobie, że od 1963 roku słowa tej piosenki nie straciły nic ze swej aktualności. Nadal chcemy kochać i całować ukochane oczy, chcemy być kochani i całowani przez ukochane usta, łakniemy zapewnień wierności i szczerości uczuć, lękamy się rozłąki i tęsknoty. I nawet jeśli współcześnie czekamy nie tyle na listy, co raczej na e-maile i esemesy, to przenikająca słowa tej i wielu innych piosenek miłość, wraz z towarzyszącym jej wachlarzem emocji, nie budzi niczyjego zdumienia, zażenowania czy zastanowienia. Możemy wręcz zaryzykować stwierdzenie, że miłość jest jak powietrze: tak samo potrzebna do życia i tak samo transparentna, niewidoczna dla oka, oczywista.

Oczywistość ta jest chyba jednak pozorna. Gdy Paul McCartney po raz pierwszy nucił „All my loving” przy goleniu, miało już siedem lat od publikacji „O sztuce miłości” Ericha Fromma. Ten przepojony głębokim humanizmem i troską o przyszłość świata esej o sztuce miłości traktuje umiejętność kochania – siebie, ludzi, dzieci, bliskich, Boga – na równi z każdą inną umiejętnością, której opanowanie wymaga od nas chęci, cierpliwości, koncentracji i samozaparcia. A kto z nas tak traktuje miłość? W większości poszukujemy jej po to, żeby poczuć się kochanym, a nie po to, żeby móc obdarzać uczuciem. Co więcej, jak zauważa autor, „ludzie myślą, że kochać to rzecz prosta, natomiast trudne jest znalezienie właściwego obiektu miłości, zdobycie czyjegoś uczucia”. Przekonanie to, powszechnie rozpowszechnione, jest w gruncie rzeczy tak samo naiwne, jak wiara, że do zdania egzaminu na prawo jazdy wystarczy znalezienie idealnej dla siebie marki samochodu. Tym niemniej, niezmordowane poszukiwanie doskonałego obiektu uczuć jest podskórnie uzasadnione nie inaczej, jak przez

rzządzające nami prawa... wolnego rynku. Już w latach 50. Fromm miał co do tego pełną jasność: „Dwie osoby zakochują się w sobie, kiedy czują, że znalazły najlepszy osiągalny na rynku obiekt, uwzględniając przy tym obustronne wartości wymienne.“ Współczesne raporty naukowe, uzależniające uczucie zwane miłością od specyficznego koktajlu hormonów produkowanych przez ludzki mózg, nie są wcale bardziej pocieszające.

Wygląda na to, że u progu trzeciego tysiąclecia ludzie z istot żyjących, myślących i czujących adaptują się właśnie do roli konsumentów życia, myśli, emocji (i hormonów). Współcześni niewolnicy kart kredytowych, gadżetów elektronicznych i światów równoległych na ekranie telewizora czy komputera żyją w rzeczywistości rządzącej się coraz powszechniej prawidłami zaczerpniętymi żywcem z kart „Nowego wspaniałego świata” Aldousa Huxleya, który „wspaniały” wydawał się tylko na okładce i tylko na pierwszy rzut oka... Dlaczego więc tak wzruszają nas słowa „All my loving” – i wielu innych, o niebo bardziej łzawych, kawałków o miłości? Skąd ta podskórna, wyczuwalna pod powierzchnią narcystycznej pozy i bezrefleksyjnego luzu, tęsknota za tak zwaną „miłością prawdziwą”, za autentycznością doznań i trwałością uczuć? Zaryzykujemy hipotezę: tak samo, jak kruche wydają się pozory wspaniałości nowego świata, tak samo pozorna może okazać się, paradoksalnie, otaczająca nas bezrefleksyjność i bezmyślność, będąca tylko maską powszechnej bezsilności. Może to swoisty odruch obronny przedstawicieli gatunku *homo sapiens*, wciąż przecież rozmyślających i odczuwających, złaknionych uczuć prawdziwych, a nie prefabrykowanych – i przeczuwających ryzyko samotności, rozpacz, utraty, a w końcu nieuchronnej i coraz mniej zrozumiałej śmierci? Mimo zdobyczy cywilizacji, nadal żyjemy głęboko nieświadomi tego, skąd pochodzimy, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. Kiedyś śmiertelny lęk przed przemijaniem cudzym i własnym uśmierzała wiara w Boga, którego imienia nie wahano się pisać z dużej litery. Obecnie, w zrjonalizowanym świecie, w którym nauka i technika stopniowo rugują z centrum życia religijność i duchowość jako przejawy wstydlivej ciemnoty umysłowej, wiara w miłość wydaje się najbardziej powszechną formą wiary. Kto mi nie wierzy, temu proponuję mały eksperyment w gronie przyjaciół: publiczne wyznanie braku wiary w miłość wywoła z pewnością dużo gorętsze reakcje i protesty, niż stwierdzenie, że jest się człowiekiem niewierzącym.

Skoro więc miłość nie tylko wydaje się niezbędna do życia jak powietrze, ale i spełnia się doskonale w nowej roli opium dla mas, tym bardziej warto skupić na niej naszą uwagę. Co w naszym przeżywaniu miłości rodzinnej i partnerskiej jest indywidualne, a co jest kwestią czysto zwierzęcych odruchów i sztucznie napędzanych potrzeb stadnych? Jak się ma miłość do seksu, a niezgłębione porywy serca do całkiem wymiernych mechanizmów konsumpcji? Co nam pozostaje, gdy zwiędną szklarniowe róże na każdą okazję i spłowieją walentynkowe serduszka...? Pytań jest tak wiele, jak wiele jest twarzy miłości, która przecież niejedno ma imię. Starożytni Grecy, zawsze skorzy do precyzyjnej analizy przystawowego włosa, odróżniali co najmniej cztery rodzaje miłości: altruistyczną i ogólnoludzką (Agape), braterską i rodzinną (Philia), twórczą i zainspirowaną obcowaniem z ukochaną osobą (Eros) oraz miłość zmysłową (Sexus). Śliczny Narcyz zapatrzony we własne odbicie był symbolem bezpłodnego zakochania w samym sobie, które zrobiło karierę dopiero w naszych egocentrycznych czasach. Tymczasem rozmaite formy relacji i uczuć między ludźmi na przestrzeni wieków ewoluowały tak samo, jak wszelkie formy ustroju społecznego, prądy artystyczne i literackie, czy też obowiązująca moda dotycząca ubioru. Warto pamiętać, że w Europie instytucja małżeństwa jako fundament relacji między mężczyzną a kobietą zyskuje formę uregulowaną prawnie dopiero w 1563 roku, w czasie obrad Soboru Trydenckiego – i nie jest to bynajmniej relacja równego z równym. W systemie patriarchalnym żona jest

zależna od męża, a dzieci traktuje się jako własność i warunek przedłużenia rodu. W społeczeństwie stanowym podstawą decyzji o założeniu rodziny jest przynależność do tej samej grupy społecznej: małżeństwo zawierane jest z rozsądku, dziedziczka korony poślubia księcia, a córka rzemieślnika – najstarszego czeladnika ojca. Miłość między małżonkami jest, owszem, możliwa z czasem, ale nie stanowi koniecznego warunku założenia związku ani szczęścia rodziny. Dodajmy, że takie małżeństwa z rozsądku, aranżowane przeważnie przez starszyznę obu rodzin, spotyka się dziś nadal w wielu częściach świata: budzą one niekłamaną zgrozę zwolenników miłości romantycznej, którzy zdają się zapominać, że jest ona – zgodnie z nazwą – wynalazkiem stosunkowo niedawnym i, mówiąc najostrożniej, nie do końca sprawdzonym.

Rzeczywiście, to romantyzm wprowadził rewolucję w ustabilizowane relacje społeczne: wbrew mieszczańskim ideałom, nie skrępowana konwenansami miłość między dwojgiem ludzi zostaje odtąd uznana za najwyższą wartość w życiu człowieka, gwarancję twórczej wolności, obietnicę prawdziwego szczęścia. Wkrótce potem Freud zgrabnie uzupełnił harmonię dusz harmonią ciał: od początku XX wieku rosnącą karierę w rozumieniu i kształtowaniu stosunków międzyludzkich robi seksualność; do tego stopnia, że samo słowo „stosunek” oznacza dziś akt seksualnego zbliżenia. Równocześnie trwająca od połowy XIX wieku walka o równouprawnienie kobiet i mniejszości etnicznych, a następnie seksualnych, w nowoczesnym społeczeństwie przynosi coraz bardziej wymierne efekty na niwie relacji międzyludzkich. Kobiety walczą już nie tylko o prawo głosu w wyborach i posiadanie własnego konta w banku, lecz również o prawo wyboru lub zmiany partnera, prawo wyrażania odmienności swoich potrzeb seksualnych czy chęci ich pełnego zaspokojenia. Pary homoseksualne walczą o te same prawa, co związki heteroseksualne – włączając w to zarówno możliwość publicznego okazywania uczuć, jak i szansę na założenie rodziny i wychowywanie dzieci. Ta rewolucja jest kwestią kilku ostatnich dekad i nadal budzi ogromne kontrowersje. Czy możemy jednak zaryzykować przypuszczenie, że wszystkimi kieruje tak naprawdę ta sama głęboka, ogólnoludzka potrzeba miłości w całym bogactwie jej przejawów, zaczynając od prawa do jej poszukiwania, a kończąc na prawie do jej poszanowania, gdy zostanie znaleziona? Wnioski nasuwają się same: wszystkie te przemiany prowadzą, z jednej strony, do przewartościowania dominującego od wieków klasycznego rozkładu sił między płciami na rzecz niezbyt jeszcze stabilnego wzorca nowych wartości, takich jak szczęście czy samorealizacja, niezależnych od płci, orientacji seksualnej czy koloru skóry; z drugiej zaś strony, niezaprzeczalną zaletą tej sytuacji jest szansa na samodzielne budowanie własnego systemu wartości i na niesłuchanie szczyry, w porównaniu z wiekami minionymi, dialog między istotami ludzkimi płci obojga, należącymi do różnych tradycji kulturowych. To szansa, której nie powinniśmy przeoczyć, nawet jeśli wiąże się z wyczerpującym wysiłkiem zrozumienia zachodzących w nas i wokół nas przeobrażeń.

Warto przy tym zauważyć, że mamy w tym wysiłku nowych, energicznych sprzymierzeńców: po wiekach dominacji statycznego słowa pisanego nadeszła epoka triumfu dynamicznie zmieniającego się obrazu. Spośród szeregu sztuk wizualnych warto zwrócić uwagę na tę, którą dzięki rozwojowi techniki i dostępności sprzętu każdy może uprawiać poniekąd na własny użytek. Fotografia, bo o niej mowa, od zarania swoich nie tak długich przecież dziejów towarzyszyła zmieniającemu się obliczu świata i relacji między jego mieszkańcami. Historia fotografii jest jednocześnie rejestracją rodzenia się nowego porządku międzyludzkiego, redefiniowania społecznego miejsca artystów, kobiet, mniejszości etnicznych i seksualnych, a wspomniana wyżej potrzeba wiary w miłość i poszukiwanie jej zaspokojenia jawi się jako potężny czynnik kulturotwórczy. Nie przez przypadek ikonografia

XX wieku opiera się na serii obrazów zainspirowanych miłością, od namiętnego pocałunku paryskich przechodniów w obiektywie Roberta Doisneau, po legendarne zdjęcie Annie Leibovitz z nagim Johnem Lennonem wtulonym w Yoko Ono. Dodajmy do tego odwagę poszukiwań takich artystek, jak Nan Goldin czy Sophie Calle, które nie wahały się czerpać z własnych doświadczeń i zawodów miłosnych, a otrzymamy polifoniczny pejzaż nowej, nie do końca jeszcze ustabilizowanej rzeczywistości.

Tym bardziej inspirująca wydaje się propozycja refleksji nad różnymi obliczami miłości, jaką pod wymownym hasłem „All my lovin” wysunęli organizatorzy tegorocznego łódzkiego Fotofestiwalu, wspólnie z irlandzkim Sirius Arts Center i Kunstlerhaus Bethanien z Berlina, zapraszając tym samym zarówno fotografów, jak i publiczność do zastanowienia się nad istotą intymnych relacji międzyludzkich w XXI wieku. Artyści biorący udział w przedsięwzięciu tworzą barwne, międzynarodowe grono odrębnych osobowości, a ich metryki są równie zróżnicowane, jak dokonane wybory estetyczne. A jednak istnieje wspólny, acz niejednoznaczny mianownik wyselekcjonowanych artystów i realizowanych przez nich prac: to poszukiwanie odpowiedzi na proste z pozoru pytanie o naturę miłości i jej znaczenie dla czujących i myślących istot z gatunku *homo sapiens*.

Bo miłość naprawę niejedno ma imię. I nawet jeśli dla uproszczenia przyjmiemy wstępne założenie, że na początek interesuje nas wyłącznie miłość rodzicielska, to jednak zupełnie inaczej patrzą na nas upozowani na Madonny ojcowie z dziećmi zanurzeni w basenie, poszukujący w wodzie alibi dla tej bliskości (Alex ten Napel), a innym wzrokiem spoglądają – otoczone nierzadko gromadką dzieciaków – pary małżonków tej samej płci, sportretowane w estetyce nawiązującej przekornie do piktorializmu i portretów dziewiętnastowiecznej burżuazji (Verena Jaekel). Co innego wyraża cykl autoportretów coraz starszej piękności pozującej z coraz smuklejszym wyrostkiem, w którym odgadujemy niemowlę z pierwszego kadru cyklu (Carole Benitah), a co innego odczuwamy na widok malarskiego cyklu fotografii, gdzie anielska główka kilkuletniej córki nakłada się niepokojąco na dziewczęcą sylwetkę młodej mamy (Edith Maybin). Z drugiej strony, dorastające dzieci również chwytają za aparat, równie zafascynowane własnym dojrzewaniem i zdobywaną niezależnością od dorosłych, co rosnącą kruchością bliskich ludzi, od których niegdyś zależał cały ich świat. Muireann Brady precyzyjnie dokumentuje zdezorientowanie dorosłego dziecka, które nieoczekiwanie zamieszkało w domu starzejących się rodziców. Lucia Stráñaiová w przejmujący sposób portretuje swoich dziadków: ich ciała, ich bliskość, ich wymowne i pełne napięcia milczenie. Elinor Carucci w cyklu *Closer* prezentuje intymne portrety trzech generacji: jest tu miejsce na i zmysłową miłość kochanków, i na rozbrajającą czułość rodzinną. Przed wielkoformatową kamerą Lydii Panas zastygły całe rodziny, których twarze świadczą o ukrywanym dyskomforcie i nabrzmiewających konfliktach. Czy to prawda, że z rodziną wychodzi się dobrze tylko na zdjęciu...? Doug DuBois doczekał się już książkowego wydania swoich zdjęć rodzinnych, do których impulsem stał się nagły wypadek ojca i jego bolesna rekonwalescencja. Te fotografie mogłyby się wpisać w historię każdego z nas, a ich genialna prostota pozwala wyrazić głęboką ludzką intymność bez epatowania ekshibicjonizmem. Miłość synowska znajduje głęboko poruszający wyraz w zdjęciach Phila Toledano, opiekującego się starzejącym się ojcem dotkniętym starczą amnezją, i Marcina Studzińskiego, który z rosnącą miłością fotografuje odnalezionego po wielu latach ojca, nie przeczuwając jego nadchodzącej nieubłaganej śmierci. Ten sam ucisk w gardle wywołują zdjęcia Jenny Matthews, gdzie ofiary wojen pozują ściskając w dłoniach portrety utraconych bliskich.

Ale znajdziemy też dające do myślenia próby zdystansowania się wobec powszechnego poszukiwania miłości i bliskości w związku z drugim człowiekiem. Przykuwa uwagę renesansowa figura Igora Savchenko z Mińska (inżyniera, absolwenta cybernetyki, pletwonurka, autora rewolucyjnych tekstów o bezsensie fotografii i serii poetyckich tytułów nie istniejących zdjęć) z jego uniwersalnym *Alfabetem Gestów*, zrealizowanym z iście inżynierską precyzją. Rebecca Martinez obrala sobie za temat modę na lalki imitujące noworodki: te niewiarygodne kauczukowe niemowlaki są czymś więcej, niż tylko niepokojącym gadżetem; pozwalają przeczuwać istnienie tęsknoty za miłością bezwarunkową, która u współczesnych singli często ujawnia się w formie nagłej i trudnej do zaspokojenia potrzeby macierzyństwa czy ojcostwa. Tymczasem wysmakowane, wystylizowane fotografie Yolandy del Amo to archipelag współistniejących obok siebie samotności: zamiast bliskości jest odległość, zamiast obustronnego dialogu – obustronne milczenie, zamiast czułości – dwa osobne łóżka i dwa otwarte laptopy. Znudzone sobą pary (podpatrywane niegdyś przez Martina Parra) teraz już otwarcie nie kryją przed sobą własnego znudzenia: on czyta, ona śpi. On karmi niemowlę, ona patrzy przez okno. On w sterylnej kuchni, ona w pustym pokoju z plecami opartymi o kartony gotowe do przeprowadzki. Rozwodem zajmą się prawnicy: witamy w krainie singli, skupionych na samorealizacji i zaspokajaniu swoich potrzeb, chronicznie niezdolnych do miłości. I chronicznie jej spragnionych – wystarczy się rozejrzeć, pójść do kina, włączyć radio i wstuchać się w słowa piosenek.

Wróćmy na koniec do Fromma, którego ocena wpływu społecznej struktury zachodniej cywilizacji na rozwój miłości jest jednoznacznie negatywna: „Żaden bezstronny obserwator naszego życia na Zachodzie nie może wątpić, że miłość braterska, macierzyńska czy erotyczna jest zjawiskiem stosunkowo rzadkim i że jej miejsce zajmują formy pseudomiłości, które w istocie są jedynie formami jej rozbicia.” Fakt: ile znamy spełnionych jednostek, udanych związków, szczęśliwych rodzin? Dojrzałym emocjonalnie ludziom zdolnym do kochania drugiego człowieka stanowią w obecnym systemie wyjątek; a prawdziwa miłość, choć jest artykułem pierwszej potrzeby, stała się rzadkim i poszukiwanym rarytasem. Dlatego „ci, którzy miłość traktują poważnie jako jedyne rozwiązanie problemu ludzkiego istnienia, muszą dojść do przekonania, że jeśli miłość ma się stać zjawiskiem społecznym, a nie indywidualnym i marginesowym, to w naszej strukturze społecznej muszą zajść poważne i radykalne zmiany” – oto, jak w 1956 roku podsumował Erich Fromm swoje rozważania nad sztuką miłości. W 2010 roku Międzynarodowy Festiwal Fotografii pod hasłem „All my lovin” daje nam szansę nie tylko weryfikacji tych spostrzeżeń, lecz przede wszystkim refleksji nad tym, jakie imię ma miłość w odczuciu każdego z nas. I czy nas to satysfakcjonuje?

\* \* \*